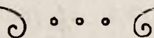
NUMBER 37. DNIA 14-go WRZEŚNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA



W KWESTJI MORSKIEGO OKA, TATR POLSKICH i ZAKOPANEGO.

I.

Młodym chłopcem, dzieckiem niemal jeszcze będąc, spędzałem kilka wakacji w pobliżu Tatr i wyraziste obrazy potężnej przyrody kraju i pierwotnego ludu podhalskiego przechowałem żywo w pamięci i wyobraźni. Wrażeń doznanych wówczas nie zatarły długie, a żwawo mijające lata młodzieńcze, pełne umysłowych i fizycznych przeobrażeń, nie przyćmiły w niedawnym czasie widziane krajobrazy Karpat, Sudetów, Saskiej Szwajcarji, różnych gór niemieckich i Alp nawet — marne, puste i szablonowe wydały mi się zawsze wobec owych wspomnień dziecinnych dzieła rąk ludzkich: stolice Europy, twory ducha ludzkiego, spędzone w tych rojowiskach do świątyń sztuki na podziw szaremu tłumowi, a na podaż „Krezusom“.

Czarowny mur graniczny Polski, wspaniały w kształtach i barwach, z muzyką potoków i wodogrzmotów, z szumem lasów i poświstem wichrów, giełcącym pohukiem górali po halach... ten cały bogaty świat zjawisk był duszy mej własnością, od czasu, gdy dzieckiem raz weń wtargnąłem.

Dużo przyczyn się złożyło, że długo musiałem się zadowalniać wspomnieniem i dopiero tego roku, po latach ośmnastu od ostatniego mego pobytu, zawitałem do Zakopanego, ale dziś mogę twierdzić nie ze wspomnień, nie budując sąd na dziecinnej wyobraźni tworach, że dla duszy i ciała nie ma w Polsce piękniejszej krainy, że trudnoby jej szukał gdzieindziej.

Nie mam zamiaru odtwarzać wrażeń doznanych, raz dlatego, że mam cel inny, a wreszcie, że zbyt mało ufam swemu słowu i pismu, abym słabym obrazem miał krzywdzić, nie mówię już Tatry, ale nawet swe własne wspomnienia. Ciekawych, a ciekawym Tatr winien być każdy, kto jeszcze naocznie ich nie widział, odsyłam do wspaniałej sylwetki Tatr Witkiewicza: „Na przełęczy“.

Znajdując się już na lwowskim bruku, bronię się wśród otaczającego mię wstrętu miejskiego gwaru i smrodu od wspomnień wspaniałych wrażeń, a zamierzam na tem miejscu podnieść tylko dwie kwestje zasadnicze, jakoteż kilka ubocznych, praktycznej natury, które mi się podczas pobytu w Tatrach nasunęły. Sądzę, że tym sposobem przysłużę się i sprawie ważnej narodowej sprawie granic polskiego posiadania i sprawie polskiej turystyki, której w imię zdrowia narodowego jestem gorącym zwolennikiem.

* * *

Zasadniczą kwestją, którą pragnąłbym choćby w krótkości zaznaczyć, jest sprawa posiadania już

nietylko tak teraz głośnego Morskiego Oka, ale przeważnej części Tatrów polskich. Sprawa sporu granicznego dobiega do końca; dzięki tęgości naszych reprezentantów, a zwłaszcza prof. Balcera, dzięki zaś przedewszystkiem naturze granicy i gór, zwycięstwo po naszej stronie jest pewne i tylko jakaś niepojęta a karygodna słabość mogłaby spowodować reprezentantów polskich do, w każdym razie, szkodliwego dla nas kompromisu z węgierskimi bratankami. — Baczną uwagę wzbudził w ostatniej chwili w społeczeństwie polskiem fakt, że rozjemczy sędzia Dr. Winkler już po przeprowadzeniu całej akcji dowodowej udał się do cesarza na audjencję. Uchylając myśl, by Monarcha pragnął wywrzeć pewien wpływ na wynik opinji Dra Winklera, syna republikańskiej ziemi, możemy chyba wierzyć, że cesarz interesował się wyłącznie przebiegiem i wynikiem procesu, że chciał być, jako pierwszy w państwie, pierwszy o wyniku długotrwałego sporu powiadomionym. Ponadto nie ma powodu wątpić, by Dr. Winkler, zaufany sędzia dwu narodów, poza własnem sumieniem znał jeszcze względy inne.

Sprawa sama wydaje mi się aż nazbyt jasną.

Podobnie jak w wielkich rysach, tak też i w najdrobniejszych szczegółach wyraźne naturalne granice muszą i są na całej kuli ziemskiej granicami politycznemi.

Gdyby Morskie Oko i Czarny Staw nad niem, w całości czy w części, przypadły Węgrom, to byłby to jedyny przykład na kuli ziemskiej; Węgrzy posiedliby kęs ziemi, od reszty ich dziedzin nie tylko odgraniczony grzbietem ponad 2300 m. wysokim, ale pozbawionym wszelkiej przełęczy; jedyna droga do ich posiadłości wiodła by przez szczyt Rysów (2508 m), bądź też szłaby naokół przez wielkie bezdroża dolin górskich. Znając Tatry lub patrząc na ich dobrą kartę, można być pewnym, że nam już wielką połać Tatr dzięki naszej nieopatrzności zdradziecko i cichcem wydarli. Dlatego powinniśmy być bezwzględni i czujni na nasze granice i ani piędzi ziemi nie puścić w niepamięć, to jest na węgierską grabież.

Gdzież jednak czujność i baczność możliwa, jeśli w pośród nas samych panuje niezgoda, a niesforny duch wszechwładzy, ale też i anarchji szlacheckiej, wiecznie pokutuje. Ta wewnętrzna anarchja, w tym wypadku niestety uświęcona prawnie paragrafami, cudownie iście wbrew poczuciu prawa nakręconymi, grozi wprawdzie nie granicom królestwa Galicji, ale w daleko większej mierze ważniejszym dla nas, granicom polskiego posiadania.

Sprawę przedstawię w tem świetle, w jakiem ją poznałem; być może i daj Boże, by sprawa ta miała się inaczej; w każdym razie, spodziewam się, że mój głos spowoduje wyjaśnienia, a bodaj — co najważniejsze — ochroni nas od dotkliwych strat. Kotlina potoku Rybiego wraz z Morskiem Okiem i Stawem Czarnym, dolina Roztoki wraz z 5 Polskimi Stawami aż po graniczny grzbiet węgierski główny (Gładkie, Miedziane i Mięguszowieckie) z jednej strony, boczny z drugiej (Żabie), wreszcie po najpiękniejszy grzbiet Tatr polskich (Świnica, Zawrat, Kozi Wierch i Wołoszyn) — razem obraz około 30 km^2 — stanowi jedno ciało hipoteczne, będące wspólną własnością kilkunastu rodzin Sołtysów z Białki *).

Głównym teraz posiadaczem tych obszarów jest rodzina Burych z Białki, którzy, jeśli się nie mylę, posiadają $^1/_6$ część całości.

Sołtysi białczańscy wypasali zgodnie na tych halach i pustkowiach od półtrzecia wieku swoje bydło, a ich oryginalne dokumenty nadań królów polskich, jak też i ich temperament góralski hamował madziarskich najeźdźców w ich zaborczych zamysłach.

W te zaciszne i dzikie zakąty wprowadziła pewien ferment dopiero polska turystyka, która wnet uznaniem swem obdarzyła Morskie Oko, perłę Tatr polskich. Setki więc i tysiące wycieczkowców dążyło z Zakopanego przez Zawrat, Waksmundzką, lub Gęsią Szyję do tego uroczego ustronia, budząc tem samem potrzebę zbudowania tamże schroniska. Kiedy Tow. tatrzańskie pierwotne schronisko przy Morskiem Oku wystawiło, nie wiem, brak mi bowiem pod ręką odnośnych sprawozdań Towarzystwa; to pewne, że już z początkiem lat ośmdziesiątych było, że sam w niem wówczas nocowałem. Nie jest mi również wiadomem, czy i o ile współwłaściciele hal nad Morskiem Okiem czynili Towarzystwu w tej mierze trudności. Faktem jest, że Towarzystwo tatrzańskie posiada na wielkim obszarze Tatr niejedno schronisko na obcym gruncie wystawione. Czy było potrzebne zakupno idealnej części hal nad Morskiem Okiem, co Towarzystwo tatrzańskie z końcem lat ośmdziesiątych za kwotę

---

*) Przeważna część obszaru leśnego tego kompleksu geogr. należy do klucza zakopiańskiego hr. Zamojskiego

kilkuset złr. uskuteczniło, nie pojmuję; schronisko już stało, protestów ze strony Białczan nie było, a przez zakupno idealnej części hali prawny tytuł Towarzystwa tatrzańskiego do budowy domów na gruncie wspólnym zgoła się nie powiększył. Faktem jest, że z początkiem lat dziewięćdziesiątych wystawiło Towarzystwo nowe i wielkie schronisko przy Morskiem Oku, formalny hotel — protestu znowu nie było, a to tem pewniej, że hotel ten wydzierżawiono Burowej, głównej współwłaścicielce hal.

Tymczasem przychodzi nieszczęście, pożar niszczy schronisko Towarzystwa tatrzańskiego, a wybudowane naprędce skromne schronisko oddaje Tow. w dzierżawę nie Burowej, lecz prawdopodobnie korzystniej płacącemu. Burowie nie zrażeni tem, występują sami jako przedsiębiorcy — czując się we własnej zagrodzie — gromadzą materjał budowlany na nowe schronisko, mające stanąć tuż przy Morskiem Oku w cudownem miejscu na grzbiecie moreny lodowcowej, o którą niegdyś przed setkami tysięcy laty spiętrzyły się wody i rozlały w urocze „Oko“.

W tym czasie, na halach przy Oku, dokonała się nowa zmiana w stanie posiadania wspólnej własności; pewną idealną część tych hal udało się zakupić hr. Zamojskiemu, panu, któremu z powodu wyrwania Zakopanego z rąk Niemców cały naród gratulował.

Jaki cel miał hr. Zamojski w tem kupnie, nie umiem powiedzieć; miałżeby pragnąć wejść zwolna w posiadanie całego tego geograficznego kompleksu, by zeń na wzór Hohenholego urządzić zamknięty rewir łowiecki? Trudno uwierzyć; miałżeby nie ufać sołtysom Białczańskim, że w obec posmarowanych złotem umizgów Hohenlohego nie będą umieli zatrzymać ojcowizny i mu ją zaprzepaszczą? Nasuwa takie przypuszczenie zachowanie hr. Zamojskiego wobec sądu rozjemczego!

Myśli hr. Zamojskiego trudno odgadnąć; faktem jest, że wytoczył Burym skargę prowizorjalną o naruszenie posiadania wspólnej własności, do skargi tej przyłączyło sie od razu, lub też nieco później, ba, wreszcie wyłącznie ją do końca doprowadziło Towarzystwo tatrzańskie.

Dzięki skutecznym radom p. mecenasa nowotarskiego Marcina Kozłeckiego, który parł Towarzystwo tatrzańskie do wyzyskania całej treści prawa, bez względu na nieco odrębne w tym kierunku poczucie prawa, zdobyło Towarzystwo tatrzańskie we wszystkich instancjach wyrok pomyślny, ba wreszcie osiągnęło tęsknie upragniony wyrok egzekucji, mocą którego miano w dniu 11. sierpnia zburzyć skromną budę — schronisko Burych.

Dodaję dla objaśnienia, że Burowie, pozostając pod grozą procesu, odstąpili od planu budowy wielkiego hotelu, wystawili skromną i przewiewną szopę, a obficie nagromadzony materjał budowlany, podczas kilkoletniego procesu wystawiony na łaskę pogody, doszczętnie zniszczał. Już ten wyrok litery prawa budzić musi uczucie oburzenia i śmiechu zarazem, cóż jednak powiedzieć, że w takim samym procesie prowizorjalnym przeciwko żandarmerji, Towarzystwo tatrzańskie przegrało we wszystkich instancjach!! *Risum teneare!!*

Towarzystwo tatrzańskie przeraziło się jednak widocznie samo, tak silnie paragrafami uzasadnionego wyroku, od uprawnionego kodeksem burzenia schoniska Burych odstąpiło, a — ciągle za podszeptem czułej i dowcipnej opieki prawnej — pragnęło nawiązać rokowania ugodowe z tymi, których prawem zwyciężyło, a materjalnie zrujnowało. Projektów ugodowych było wiele, ale wszystkie były arcyśmieszne, aby nie użyć ostrzejszego wyrażenia; albowiem oferowano się ich zostawić w zupełnym spokoju za cenę dzierżawną 1 korony.

Dziwne żądanie „małego“ intruza od długowiecznego a głośnego hal dziedzica! Słuszną więc była oferta Burych: My wam zapłacimy 1 koronę dzierżawy, wy nam będziecie płacić trzy korony!

Stanowisko Burego jest jasne, a niech każdy osądzi, czy nie sprawiedliwie: nic nie chcę od Towarzystwa tatrzańskiego, w niczem mu przeszkadzać nie myślę (zapewne już nie może wobec danych dawnych zobowiązań i poczynionych ustępstw), ale niech na tej samej własnej, choć indywidualnej, nie rozdzielonej hali nie przeszkadza mi się rządzić według mego mniemania.

Bury ma zamiar przystąpić w następnym roku do budowy wielkiego hotelu nad Morskiem Okiem. Więc właśnie wtedy, gdy Towarzystwo Tatrzańskie rozpocznie budowę swego nowego schroniska. Słuszna zgoda powinna między temi dwu przedsiębiorstwami panować — gości będzie dla obu aż nadto, a rzetelna konkurencja jest nawet wprost pożądaną.

Co będzie jednak, gdy Towarzystwo Tatrzańskie będzie słuchać dalej podszeptów palestry, łaknącej procesu, nie trudno dzisiaj przewidzieć.

Bury Jan, syn dzisiejszej właścicielki, jest młodym góralem w sile wieku. Natura obdarzyła go żwawym, góralskim temperamentem i sprytem, właściwym synom Tatr. Ukończone szkoły (gimnazjum w Nowym Sączu) i tułaczka po świecie nauczyły go życia z licznych stron, podstępna walka o ojcowiznę, a w następstwie ruina materjalna, obdłużenie podrażniło tę krewką duszę do tego stopnia, że tam już trudno szukać względów wyższych, gdy w jego poczuciu najprymitywniejsze jego prawa zostały pogwałcone.

Bury pociągnie najdalej idące konsekwencje z prawa współposiadanej bardzo wielkiej, ale też bardzo idealnej części hal tatrzańskich i na wypadek, gdy Towarzystwo Tatrzańskie samo nie poda ręki do zgody, względnie nie zaprzestanie dalszej walki i sporów na gruncie wspólnym, Bury zażąda wniesienia całego terytorjum wspólnego — już nietylko Morskiego Oka, lecz całego kompleksu, od Żabiego po Zawrat... na licytację.

Zbyteczne dodawać, że na licytacji jawi się też Hohenlohe, ten zapalczywy chciwiec na turnie i piargi — kozic siedziby — a kto się wobec grosza Hohenlohego utrzyma?!!! Muszę niestety smutną, a już najzupełniej pewną wiadomość do publicznej podać wiedzy, że piśmienne kroki pomiędzy Burymi, a zarządem dóbr Hohenlohego, sławnej pamięci p. Keglem, już zostały nawiązane.

Los Tatr polskich wisi na włosku! Zgroza przychodzi myśleć i snuć konsekwencje prawnych, a nigdy celowych, kroków Towarzystwa Tatrzańskiego, które ma za sobą 38 lat najzasłużeńszej pracy na polu taternictwa, ale gdy tak dalej pójdzie, to chyba 40-lecie swej działalności będzie święcić nie w Tatrach, bo dostępu do nich nie będzie już strzedz jakiś mityczny król wężów, lecz brutalna rota tyrolczyków pruskiego pana Tatr polskich i węgierskich.

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć jedną refleksję. Nie jestem prawnikiem i nie znam tajników prawa i jego procedury, przytoczę przeto sąd jednego z najważniejszych lwowskich adwokatów. Adwokat ten, powtarzam jedna z najtęższych i najbardziej poważnych sił prawnych Lwowa, nie podzielał w zupełności moich obaw. Na wypadek żądania licytacyi, twierdził pan N. N., przez jednego z współwłaścicieli, sąd nie musi na podstawie współczesnej procedury do owego żądania się przychylić, owszem może na podstawie swego sumiennego uznania przeprowadzić indywidualny podział własności pomiędzy pojedynczych współposiadaczy. Dajmy na to, że ta ewentualność jest nawet zapewnioną, że posiadanie Tatr polskich z rąk polskich się nie wyślizgnie — czy wobec tej ostatecznej konsekwencyi prawa było słusznem i sprawiedliwem, drogą też litery prawa uprawnione prowizorja przeciwko Burym doprowadzać do ostateczności, która ma dwa końce: jeden, sprawiedliwy policzek procesowiczom, a drugi, straszna klęska i uszczerbek granicom polskiego posiadania.

Tak, czy owak, winno społeczeństwo polskie całą swą energję wytężyć, tę energję, którą rozwinęło w walce o granicę praktyczną, zwrócić przeciwko tym, którzy, siejąc swarę i niezgodę, narażają społeczeństwo polskie na haniebną utratę już nie Morskiego Oka, ale omal całych Tatr polskich z 7 uroczymi stawami i najpiękniejszą z całych Tatr, Siklawą. Baczność przed ostatecznościami!!!

W końcu zwracam się z prośbą do tych i wyrażam wdzięczność tym, którzy uzepełniając niedostateczne, prostując błędne moje informacje doprowadzą do wyjaśnienia, a w następstwie i zażegnania tego arcysmutnego zajścia.

Dr. Eugeniusz Romer.



Za co?...

Za co mnie karzesz, o życie!
Za co mnie męczysz...
Toć ci złożyłem serce czyste, białe,
jako te pióra gołębie,
szumiące lotem w słonecznym błękicie,
a tyś się szpony wpiło jastrzębiemi
i bezlitośnie strąciło ku ziemi
rozdarte, krwawe...
O, za co karzesz!
Ty, takie zbrojne, takie zwielmożnione
na tych miljonach, co przeszły twą drogą,
by się rozsypać w proch, lub nieśmiertelną
kurzawą złotą lśnić w dziejów pochodzie,
za co mnie męczysz...
Jam ci podobien tej zwalonej kłodzie,
której w zapasach z rozwścieklona burzą,
ostał się jeden, wątły korzeń lichy
i ani żyć jej nie daje, ni uschnąć,



wplątany w wąską, skalistą szczelinę —
a ty mnie chłoszczesz, nie za moją winę!
A ty rozpinasz na boleści krzyżu,
wbitym w me losy twoją własną ręką.
Piorunem uderz w nędzę mą, niech skona
dusza zmęczona!
O, to już taką stało mi się męką
dni twoich pasmo,
tak mi leniwo twe promienie gasną,
a każde jutro tak mi jest dalekie,
każda godzina tak wolno się wlecze —
że już za ciężko, oh życie, za ciężko
na moje siły człowiecze!
Uderz, hej, uderz... niechaj się zawali
słup gorejący!
Uderz, niech płomień wysoko wybuchnie,
niech mnie czerwienią iskier wskróś ogarnie,
niech spali!
Niech spali serce, świadomość, męczarnie...

Z. P.

Franciszek Jaworski.

REWINDYKACJA LWOWA.

[WRZESIEŃ 1772 R.]

Znaki na ziemię przyszły z rozpaczną wieścią, że... nie ma ratunku. Cały gmach Rzeczypospolitej walił się na głowy tego właśnie pokolenia, które go najbardziej dźwignąć chciało z upadku. Wobec zdrady i oszukańczych matactw dworskiej dypiomacji nie czas już było na naprawę wiekowych błędów — z nieubłaganą a straszną siłą zbliżał się... koniec.

W takiej chwili, w r. 1767, ponury orszak wkraczał w walące się mury Lwowa. Z dalekich Ukrainy obszarów prowadził regimentarz Stępkowski ośmdziesięciu hajdamaków, razem z ich watażką Gontą. Zakuci w kajdany, krwią niewinną opaśli, szli oni na śmierć pewną, bo Rosja już rabów swoich wiernych niepotrzebowała, ani rzezi hajdamackiej... ślepe narzędzia mogły być ręce karzącej wydane.

I równocześnie, gdy na górze hyclowskiej tracono trzydziestu dziewięciu hajdamaków razem z Gontą, gdy w trzynastu większych miejscowościach Rusi karano powolną śmiercią po jednemu złoczyńcy, — Lwów został obsadzony przez wojska rosyjskie.

Sprowadził je adherent Stanisława Augusta, a komendant zamku lwowskiego Korytowski, wspólnie ze starostą ziemi lwowskiej Janem Kickim. Obaj czuli w powietrzu konfederację barską, a zbyt dobrze wiedzieli, że miasto, jakkolwiek wyniszczone już do ostateczności, raczej stanie po stronie konfederatów, niż Rosji i ich zauszników. Przy pomocy więc rosyjskiego żołdactwa rozbroił Korytowski mieszczan lwowskich doszczętnie, zabierając i te resztki amunicji, które pozostały po rabunku szwedzkim, obawa zaś połączenia się mieszczan z konfederatami doszła do tego stopnia, że skonfiskowano nawet kilka starych hakownic, będących własnością bractwa strzeleckiego.

We Lwowie rozsiadł się garnizon rosyjski wszechwładnie. W pałacu Lubomirskich (dziś ka-

mienica w Rynku l. 10) stał naczelny generał Kreczetnikow, po klasztorach rozlokowali się generałowie Uszakow, Kamieński, Szyrkow, Essen; pułkownicy Stallberg i Trautenberg, wojsko zaś stało po domach prywatnych. Miasto wynędzniałe uginało się pod tym ciężarem, gdyż nietylko żywić trzeba było najeźdźców, ale im także broni dostarczać. Wszyscy bowiem lwowscy ślusarze musieli robić nowe bagnety dla rosyjskiej piechoty i to na koszt miasta, które za każdy bagnet płaciło po 17 złp., z funduszów naturalnie na lichwę pożyczonych.

Tymczasem 30. maja 1769 ziemia lwowska zgłosiła akces do konfederacji barskiej, a w dniu 1. czerwca t. r. uderzyli konfederaci pod dowództwem regimentarza Franciszka Ksawerego Puławskiego na Lwów. Potomkowie dumnych patrycjuszów bezczynnie patrzeć musieli, jak Korytowski rzęsistym ogniem armat i strzelby ręcznej przez noc całą prażył konfederatów, jak z jego rozkazu płonęły dworki naprzeciw furty jezuickiej i cała wielka część przedmieścia Halickiego, wraz z kościołem Karmelitów (dzisiaj sąd i gimnazjum przy ul. Batorego). Mimo bohaterskich wysiłków, wojsko konfederatów z samej jazdy złożone, dobyć miasta nie mogło. Trzykrotnie wdzierali się już do bramy krakowskiej, ale ostatecznie po dziesięciogodzinnym szturmie od ósmej z wieczora, do szóstej godziny zrana dnia następnego, cofnąć się musieli ze znacznymi stratami, napsowawszy jeno trochę moskali.

Dla charakterystyki czasów i ludzi dodać jeszcze należy, że konfederaci w kilka dni później wnieśli przez usta Potockiego, starosty kaniowskiego w grodzie bełzkim uroczysty protest i manifestację przeciwko Korytowskiemu i Kickiemu o to, że ich do Lwowa wpuścić nie chcieli.

A Lwów tymczasem legł w zupełnej ruinie: Przedmieścia spalone, w mieście nędza doszła do tego stopnia, że właściciele domy swoje opuszczali, zdając je na łaskę i niełaskę losu. W samym Rynku szesnaście domów na pół rozwalonych stało bez właścicieli, garnizon rosyjski gospodarował jak w mieście zdobytem, a wśród tego wszystkiego, dwory szlacheckie i jurydyki wesołym tańcem rozbrzmiewały i zabawą. Szlachta bratała się z Moskalem, panie tańczyły na zabój z oficerami rosyjskimi; w dzień urodzin i imienin Katarzyny II. Lwów cały rzęsistą jaśniał illuminacją *). Aż ówczesny lwowski arcybiskup Sierakowski wydać musiał list pasterski, w którym gromi tych, „którzy, osobliwie we Lwowie podczas rozlewu krwi i ruin Królestwa, jakoby w najlepsze i najpomyślniejsze Ojczyzny czasy, w wesołościach, ucztach, redutach, tańcach, grach, maskach i wszelkich krotofilach ze zgorszeniem obcych, z boskiej zdawali się naigrawać zemsty .

Równocześnie na dworach: austrjackim, pruskim i rosyjskim los Polski był już zadecydowany, we Wiedniu dla uciszenia sumienia drukował się „Wywód poprzedzający praw Korony Węgierskiey do Rusi Czerwoney i do Podola, tak Jako Korony Czeskiey do Księstw Oświecimskiego i Zatorskiego“, w dniu 14. maja 1772 wkroczył major huzarów Fabri od Dukli, 10. czerwca korpus d'Altona zajął województwo krakowskie, generał Esterhazy stanął w Stryju, a generał Andrzej Hadik otrzymał nakaz zajęcia Lwowa.

Dnia czwartego lipca 1772 stanął korpus Hadika na błoniach wsi Skniłów i Skniłówek, a nie co później załoga rosyjska, wierna traktatom podziałowym, grzecznie mu miejsca ustąpiła, wynosząc się ze Lwowa w kierunku wschodnim. Razem z generałami rosyjskimi opuściła miasto wszystka szlachta, jakakolwiek się tylko w mieście znajdowała: „JW. starosta lwowski chorobą złożony, JW. urodzeni ziemi lwowskiej i powiatu żydaczowskiego i inni ziemianie we Lwowie nie znajdują się, miasto bez rady wyższych kraju tego duchownych i świeckich stanów zostawione“....

W mieście została tylko garstka wynędzniałych łyków wśród walących się murów, bez kawałka broni, dosłownie bez centa zasobów pieniężnych, — nędza wszelkim opisom urągająca....

A jednak... austrjacki generał jakby nie miał odwagi wejść do miasta: Na polach Skniłowa wojsko jego stało przez trzy pełne miesiące, on sam w dworku Granowskiego na przedmieściu czekał i czekał... a tak łatwo mógł przecież wieńcem zdobywcy skroń swoją otoczyć! Nie brak mu

*) Ogólna illuminacja Lwowa odbyła się w dniu 25. listopada 1771 w dzień imienin Katarzyny II. i dnia 9. lipca 1772 w dniu jej urodzin.

było dumy ni ochoty, wyniosłym być potrafił nawet bardzo, jak się to później okazało, gdy nadarzyła się sposobność upokorzenia, kornej deputacji mieszczan.

Odnośne akta archiwum miejskiego przepadły, powiadają nawet, że rozmyślnie zostały zniszczone, aby nie odsłonić tajemnic pertraktacji o wydanie miasta. Pertraktacji jednak żadnych nie było, tylko dwory podziałowe nie mogły się porozumieć, do kogo ma Lwów należeć.

Ale generał Hadik spieszyć się musiał, bo we Wiedniu desygnowany gubernator Galicji hr. Pergen dnia 30. sierpnia wygotował memorjał „*Pro Nota*“, w którym podawał sposoby, jakimi się ma „wpoić ludności innego ducha narodowego *(Nationalgeist)*“, a w pierwszych dniach września wybierał się do Lwowa z instrukcją, że „Galicja powinnaby rychło być na wzór Czech i Morawji zorganizowaną, bo dawne prawa polskie nie mają już znaczenia, a na naród najlepiej działać przez szkoły, których koszta utrzymania dostarczy duchowieństwo“....

Więc spieszyć się musiał generał Hadik. Dnia czternastego września 1772 r. stanął na ratuszu lwowskim kapitan z pułku Tillier, Braun ze skromnem żądaniem pomieszczenia łóżek dla 22 urzędników cywilnych. Miasto zaprotestowało uroczyście, ale żądaniu zadość uczynić musiało, bezsilne....

I dopiero wtedy Hadik, otrzymawszy świeże rozkazy z Wiednia, wkroczył dnia dziewiętnastego września 1772 tryumfalnie do miasta, przez bramę krakowską, a Magistrat otrzymał bezwzględny już teraz i stanowczy rozkaz zakwaterowania wojska austrjackiego.

Lwów stał się miastem austrjackiem.

W dwa dni później zaczął Hadik gospodarkę na dobre. Reperowano główny odwach w ratuszu, usuwano stamtąd jatki szewskie odwieczne, a tymczasem przybył już w mury miasta, pierwszy gubernator hr. Pergen.

W sam dzień pierwszego października 1772 zawołał Hadik kilku rajców miejskich przed swoje oblicze. Wieść o tem rozbiegła się szybko, a nazajutrz zbierały się na ratuszu „wszystkie stany i narody“ miasta pod wrażeniem, że stać się ma coś bardzo smutnego...

I rzeczywiście dowiedziano się o rozkazie generała, aby Rada miasta uczestniczyła w instalacji nowego gubernatora i towarzyszyła mu w uroczystym pochodzie do katedry.

Na zgromadzeniu zawrzało. Wszystkie „stany i narody“ oświadczyły jednomyślnie, że sprzeciwiałoby się to przysiędze na wierność, złożonej Stanisławowi Augustowi, który przecież nie abdykował, przypominano, że nawet Karol Gustaw za najazdu szwedzkiego nie żądał od Polaków przysięgi wierności....

Wtem zjawił się na ratuszu znany już kapitan Braun, a trzymając w ręce garść proklamacji Marji Teresy, zażądał, aby je przybito na bramach miasta i na ratuszu. Wobec tego uchwalono wygotować memorjał i wysłać deputację do Hadika i Pergena z prośbą, aby miasto od tej demonstracji uwolnili. Równocześnie wysłano obszerne pismo do kanclerza Młodzianowskiego, z opisem tego, co zaszło.

Hr. Pergen deputacji, ani memorjału nie przyjął tak samo, jak i Hadik, który tylko prywatnie oświadczył: „że ten akt ani homagium żadnego, ani przysięgi nie znaczy, odgrażając się *in causam renitentiae* surowym, jako na nieprzyjaciół, karaniem“.

Nie było żadnej rady. Magistrat musiał się znajdować na instalacji dnia 4. października, musiał illuminację nakazać tak w ten dzień, jak i 15. października 1772 w dzień imienin Marji Teresy, od jednego się tylko uchronić zdołał — proklamacji Marji Teresy nie przybił na murach miasta.... dokonali tego żołnierze austrjaccy.

Zaledwie przebrzmiało gorzkie „*Te Deum*“ na uroczystościach instalacyjnych w katedrze, nadeszła od hr. Pergena do ratusza pisemna formuła przysięgi na wierność Austrji, którą mieli podpisać wszyscy rajcy i czterdziestomężowie.

Znowu protest i memorjał, tym razem już taki smutny i rzewny, tyle rezygnacji w sobie zawierający i beznadziejnej rozpaczy:

„Stany miasta *matura condeliberatione* nad tym punktem, rozmówiwszy się, a zważając, iż takowe juramentów podanie osób do jurysdykcji należących imieniem nowego panowania, jest przeciwko pierwszej Najjaśniejszemu królowi polskiemu wykonanej przysiędze i obowiązkom sumienia, *unanimiter* uchwaliły podać *in scripto* do J. W. Ministra notę, aby do wykonania takowej przysięgi z przyczyn pewnych nie necessytował i tęż notę podać się mającą, *in actis* ingrossować, zostawując pamiątkę *posteritati*, względem dochowania wiary swemu monarsze królowi polskiemu“

Nic to nie pomogło. Memorjału znowu Pergen nie przyjął, ale rajcy ratuszni jeszcze nie dali za wygranę. Oczekując chyba boskiej pomocy, zwlekają z podpisaniem formuły do ostateczności, a równocześnie wysyłają gońca za gońcem do mieszkającego wówczas w Zbarażu Andrzeja Poniatowskiego, generała wojsk polskich, ostatni grosz na tę korespondencję wydają, rozpaczliwy memorjał szlą do Warszawy, a wszystko na nic. Rzewny płacz łyków lwowskich rozlega się po całej Polsce, najmniejszego echa nie wywołując.

Biedne — biedne łyki! Wtenczas, kiedy oni tak się trapią na ratuszu w bezsilnym żalu, szlachta, pierworodne tej matki ojczyzny dzieci, już się z nowym rządem dawno pogodziła: „Wszystkie osoby sądowe tak ziemskie, jak i grodzkie, lwowskie, tudzież inne okoliczne *sub auspiciis Augustissimae Mariae Theresiae Ungariae et Bohemiae Reginae Archiducis Austriae etc.* podpisali już *iuramenta* swoje“.... a oni, te łyki biedne, ciągle jeszcze z nieba ratunku wyglądali....

I dopiero dnia 10. stycznia 1773 r. podpisał burmistrz Marcin Mercenier formułę przysięgi, a za nim rajcowie, ławnicy, wójt, sędziowie ormiańscy i czterdziestomężowie.

— Bo nie było już wtedy żadnej nadziei ratunku i pomocy, a zachodziła groźna obawa, „jakowej dla miasta złej konsekwencji“.

EMMA JELEŃSKA

8) Z MIŁOŚCI.

VII.

Nazajutrz wieczorem Karol, mając chwilę wolną, a widząc porzucone na stole owe książki o jaskrawych okładkach, zaczął je przeglądać. Dotychczas, słyszał wprawdzie nazwiska ich autorów, ale nigdy się z niemi nie zetknął. Cóż tam było, coby mogło aż tak podniecić i rozdrażnić?

Wanda z robotą w ręku usiadła po przeciwnej stronie stolika. Ona nie była jeszcze spokojną. Miniona noc zmęczyła ją. Coś się w niej zbudziło, co dotąd spało gdzieś na dnie jej istoty. Jakaś zmora wisiała nad nią, jakiś tuman smutku ją otaczał. Czuła się złamaną, zniechęconą, zbolałą.

A teraz, gdy usiadła pod lampą w swoim buduarze zacisznym i pachnącym, i ujrzała męża zabierającego się do czytania — a wokoło był spokój i ciemność zimowego wieczora, — odpoczywanie skończonego dnia — pomyślała sobie: „Tak właśnie układałam sobie w marzeniach“. Ale zarazem poczuła, że tu jednak czegoś brakuje i że marzenia nigdy się już nie sprawdzą.

Pochylona nad robotą, milczała. On czytał i tylko czasem szelest przewróconej kartki przerywał ciszę. Tylko czasem, z ulicy zasłanej śniegiem, doleciało brzęczenie dzwonków ze sanek.

Nagle Karol poruszył się niecierpliwie.

Zamknął czytaną książkę, odrzucił od siebie i wziął drugą. Znowu zaszeleściły kartki — i znowu było cicho.

Tylko coś zimnego powiało między niemi. I Wanda niżej schyliła głowę nad robotą. Wszakże nawet w milczeniu mogły myśli ludzkie zbiegać się, spotykać i iść razem jedną drogą. Nawet bez słów można było powiedzieć sobie tak wiele — ach, tak wiele! Ale nie — tu powiał nieprzyjazny prąd — tędy przechodziły myśli zimne — zimne.

— Ależ ja z tego nic a nic nierozumiem! — zawołał Karol, i zamknął drugą książkę. — Po jakiemu oni piszą! Wysilają się na jakieś nadzwyczajne słowa, a sensu niema za grosz. Wziął trzecią książkę do ręki, i po chwili rzekł:

— To przynajmniej jasne.

Cisza znowu trwała długo, przerywana tylko szelestem kart. Karol czytał uważnie. A Wanda, snując igłą tam i napowrót po białym hafcie, myślała. Tylko że myśli jej tego dnia były takie ciężkie, mętne, szare! Głowa ją bolała i przykry dreszcz nią wstrząsał niekiedy od stóp do głów. Nagle zimno ją przejmowało, to znowu zdawało się, że w żyłach ogień płonie. „Co mi się stało?“ — mówiła do siebie, zniecierpliwiona — Czyżbym się miała rozchorować?“ Myśli błądziły w różne strony, urywane. Dotknęły się i domowych spraw i jutrzejszego zaproszenia do Lutyńskich, i projektowanej podczas świąt wycieczki na Polesie, i nowej sukni, którą szyła Leontyna, ale wciąż wracały do owego ciemnego tumanu, co nad nią wisiał, i w nim tonęły. „Szczęście robaków, które słońce na śmieciach wylęgło...!“

Naraz zrobiło się jej gorąco.

Wstała i podeszła do okna, czoło oparła o zimną szybę i zapatrzyła się. Noc była cicha, mroźna i biała, białością świeżo spadłego śniegu. Na ciemnem niebie migotały gwiazdy, a w dole, wśród drzew, migotały latarnie. Rzeka szła i szła w dal, niosąc jasne kry, które przewracały się i ocierały jedna o drugą. Wzburzona dziś była i gniewna, jakby czuła już na sobie okowy, a nie chciała dać się w nie zakuć, i pragnęła ujść gdzieś w wolne krainy, i dążyła do swobody, do przestrzeni, do nieskończonego oceanu! „Jak ona pędzi! jak ona ucieka od tych więziów lodowych — pomyślała Wanda — szczęśliwa! Ach, uciec też, uciec daleko!“ I wezbrała w niej szalona tęsknota do przestrzeni, do dalekich widnokręgów — do jej poleskich niezmierzonych widnokręgów — do dawnego życia, do dawnej swobody. Zaciężyły i jej okowy. Z rozdrażnieniem spojrzała na męża. Powiedział, że nie rozumie! Naturalnie! cóż on tam może zrozumieć! Oni rozumieją tylko to, co można odważyć, zmierzyć, skosztować.

Dreszcze ją porwały — jakieś zimno wewnętrzne, jakiś mróz, co ją obejmował całą. „Boże, co mi jest dzisiaj — czy jestem chora?“

Nagle zerwał się Karol, odrzucając książkę. „Paskudztwo!“ zawołał, i zaczął chodzić po pokoju. Aż się zbliżył do okna.

Jak wy możecie — zaczął — jak wy możecie czytać takie rzeczy! I jeszcze zachwycać się niemi! Toż jest brud — brud najwstrętniejszy! Gorsze to sto razy od powieści Zoli, który maluje wprawdzie szkaradę, ale jako szkaradę; tak, jak jest. — A tu... tu... Ależ to wszystko spalić na stosie! To trucizna... Powiedz... pomyśl!... czemże byłoby społeczeństwo, wykarmione na takich książkach?

Wziął żonę za rękę i chciał dalej mówić, przekonywać ją. Ale, dotknąwszy się jej rozpalonej dłoni, przeraził się.

Co to jest, Wando! Tyś chora... Co tobie? — zawołał.

Rzeczywiście, chorą była, ledwie na nogach mogła się utrzymać.

I choroba rozwinęła się szybko. Najprzód gorączka silna, potem zapalenie płuc, z komplikacją sercową — wielki upadek sił. Przez miesiąc cały, w przyćmionej sypialni, trwała męcząca walka. Przez miesiąc cały, przy bocznym stoliku, zasłaniając światło troskliwie, spędzał dnie i noce prawie całe Karol. Wobec choroby żony, wszelkie inne sprawy zmalały w jego oczach. Chodził wprawdzie do sądu, przyjmował klijentów — ale każdą wolną chwilę przy niej przebywał. „Kocha mnie“, myślała Wanda, widząc wciąż schylającą się nad nią głowę jego, „naprawdę mnie kocha“. I rodziła się w niej i wyrastała, pomimo cierpień i choroby, słodycz niewypowiedziana — i powtarzała suchemi od gorączki ustami: „Jaki on dobry! Jaki on dobry!“

A gdy wreszcie nadeszło polepszenie i mogła usiąść na kanapce, i w milczeniu, oparta o niego i otoczona jego ramieniem, przymknęła oczy — ogromna fala szczęścia napłynęła do jej piersi — fala wdzięczności i miłości dla niego. Łzy zaczęły jej spływać po twarzy. „O, jakże byłam złą i głupią!“ myślała, wspominając dawne swe żale. I wziąwszy jego rękę, pocałowała ją kornie.

Siły wracały powoli, ale tak wielkie tkwiło w niej osłabienie, że lekarze doradzali wyjazd na południe. „Tam klimat, słońce, najlepszą będą kuracją“ — mówili. Dobrze się składało, gdyż wujostwo jej spędzali całą zimę w Bordigherze dla poratowania zdrowia. Miałaby więc towarzystwo i opiekę.

Karol zamyślił się głęboko. Był to wydatek duży, ciężki bardzo, tembardziej, że nieprzewidziany. I tak już ta długa choroba opróżniła jego kieszeń. Skąd weźmie na to wszystko?

Zarabiał wprawdzie nieźle — ale też i wydatki od czasu ożenienia się wzrosły ogromnie. Procent od kilkunastu tysięcy Wandy nie pokrywał różnicy, i zeszłego roku ledwie końce dały się związać. A teraz jeszcze ta podróż... Ale jej zdrowie, to rzecz pierwsza. Pieniądze na to być

muszą. Jakimże byłby on mężem, gdyby nie umiał dostarczyć jej na konieczne potrzeby — gdyby nie umiał nawet jej zdrowia ratować. Niedołęgą byłby, nie mężem! Pieniądze być muszą.

Zarabiać więcej nie może, bo i tak już żadnej prawie sprawy nie odmawia. Ale może wejść w jakieś spekulacje, może robić obroty, któreby dały większy zysk. Dawniej wystarczał mu zarobiony grosz — dziś zupełnie co innego. Od tak dawna namawia go Rucz i Husło do tej spółki budowlanej. Trzebaby się nad tem zastanowić i może kapitał Wandy w tem ulokować. A dawne, rozpoczęte dzieło o prawie sukcessyjnem na Litwie — możeby też przyniosło trochę rubli, gdyby się raz wziąć energicznie do jego ukończenia. Dobrze jest zadawalniać się miernością, gdy niema się rodziny. Ale człowiek raz ożeniony, musi wszystkie swe siły wytężyć ku zdobywaniu. Musi to robić łokciami, aby miejsce dla swoich rozszerzyć i zapewnić im byt i dostatek. Musi — tak! to konsekwencja ożenienia.

— „Przecież niedołęgą nie jestem“ — rzekł sobie w końcu Karol — i mojej żonie potrafię dostarczyć wszystkiego, czego zapotrzebuje. Pieniądze znajdę — zrobię. A jechać na południe ona musi“.

I we dwa tygodnie później ona była już w Bordigherze — a on w pustem mieszkaniu, dnie i noce spędzał przy pracy. Zatapiał się w aktach i papierach sądowych, rozbierał zawiłe protokoły śledztw, roztrząsał kazusy zagmatwane — a dla odmiany wertował dawne statuty i djarjusze i pisał rozpoczęte niegdyś i porzucone dzieło. Dnie mijały szybko w pracy i jednostajności wielkiej, przerywanej tylko czasem jakąś społeczną sprawą. Na rozrywki i na towarzyskie stosunki nie miał ani czasu, ani ochoty, i chociaż zapraszany często do Oleckich, to do Lutyńskich, to do Znajeckich, których dom był zawsze szeroko otwarty, wymawiał się zajęciami i siedział w domu. Aż żartować sobie z niego zaczęto, że w nieobecności żony cnoty swej tak pilnie strzeże. I raz Znajecka, spotkawszy go na ulicy, zaczęła wykrzykiwać: „Ależ, panie Karolu! któż to widział tak siedzieć za klauzurą! Pan się nas chyba lęka — czy co? Takeśmy niebezpieczne? Przecie pani Wanda tak dalece zazdrosną chyba nie jest... Ale *à propos* zazdrości, czy pan wie, co mówią o Oleckiej? Nie? pan o tem nie słyszał? No, to nie powiem, bo to może być tylko plotka — a ja plotek nigdy nie roznoszę, tylko jeden Lutyński może o mnie powiedzieć, że jestem plotkarka. To paradne! Lutyński, który sam aż się pali do każdego skandaliku! Ale teraz post — wkrótce spowiedź wielkanocna — więc lepiej nie grzeszyć. Pan i tak się dowie, bo wszyscy o tem mówią. Ale ja temu nie wierzę — ona się na to zdobyć nie potrafi! Ale czemu pan kiedy nie przyjdzie do nas na herbatę. Zajęcia? E, cóż tam znowu za zajęcia! I mój Staś we mnie bardzo zakochany, a jednak, gdy wyjadę, to nie siedzi jak pustelnik. A kiedyż żona wraca? Dopiero w końcu kwietnia? Mój Boże, toż się pan zatęskni tymczasem“.

Tak i jemu się zdawało. Do końca kwietnia było jeszcze daleko — a tymczasem tęsknił. Tęsknota to była niewyraźna, nie objawiająca się ani jednem słowem przed ludźmi, nie wybuchająca okrzykiem w samotności, nie wyrażona w listach, niesformułowana nawet w myśli własnej. Ale ciągła, nieustanna. Towarzyszyła mu stale. I gdy z rana, budząc się, widział obok siebie porządnie zasłane, puste jej łóżko; i gdy zasiadł do śniadania i sam sobie nalewał herbatę, i gdy, wróciwszy do domu, obchodził nudne, martwe mieszkanie, i gdy zasiadł do pracy przy biórku, i oczy jego padały na stojącą przed nim jej fotografję; i nadewszystko, gdy zmęczony, wyczerpany usilną całodzienną pracą, kładł się samotny, i przed zaśnięciem myśl jego biegła do niej z pytaniem: co ona teraz robi? „Śpi już pewnie“ — mówił sobie, i posyłał jej myślą — nigdy jednak słowami — „dobranoc“. Sam przed sobą nie przyznałby się nigdy, że tęskni. Czuł, że siedzi mu jakiś ciężar na duszy, że coś go gniecie i czegoś mu brakuje, ale tłómaczył to sobie troską o pieniądze — niczem więcej.

Ona pisała często. A listy jej były takie wesołe, rozpromienione gorącem, południowem słońcem, i tak tchnące wracającem zdrowiem, a takie dla niego czułe, takie kochające! „Moj najdroższy, — pisała, — ja tu dopiero widzę, z oddalenia, jaka ja z tobą szczęśliwa. Dopóki jestem przy tobie, to mi drobiazgi różne zasłaniają obraz mojego szczęścia, i czasem nawet narzekam i piszczę o byle co. A stąd, patrzę na ciebie i myślę, że doprawdy już lepszego nad ciebie męża niema na świecie, i że powinnam codzień Panu Bogu dziękować za to, co mi dał. A szczególniej, gdy patrzę na innych mężów, naprzykład na wujaszka, to myślę

sobie: jakie to szczęście, że mam takiego Karola! Prawda że szczęście? Powiedz! — Tylko źle mi teraz bez ciebie, moje ty szczęście! i co chwila myślą porzucam te wszystkie piękne rzeczy, które tu mam, a lecę do naszego mieszkanka, do ciebie — i przytulam się do ciebie. Czy mnie czujesz przy sobie?

W innym liście pisała: „Nasi znajomi, państwo Lucjanostwo, wyjeżdżają stąd 20. marca. Pozwól mi z nimi wrócić. Jestem już zupełnie zdrowa — i to tylko doktorskie wymysły, że u nas w marcu zimno. A ja dłużej tu bez ciebie nie wytrzymam! Tak mi tęskno! tak mi już nic nie miłe bez ciebie! Ciocia to rozumie, i pewnieby na mojem miejscu tak zrobiła. To wujaszek gderze na babskie mazgajstwo! Ależ, mój Boże! cóż to dziwnego, że żona tęskni do męża? Pozwól mi wrócić.“

Ale Karol nie pozwolił. Wyjechała dla zdrowia, to niechże nie psuje całej kuracji wracaniem na roztopy, deszcze i słoty marcowe. Powróci w kwietniu, gdy już będzie sucho i ciepło. Nikt jeszcze z tęsknoty nie umarł — więc i ona wytrzyma. Przywiązanie do męża jest bardzo ładną rzeczą, ale wszystkiem powinien kierować rozsądek.

Tak do niej pisał. Ale listy jej jednak po parę razy odczytywał, i jej tęsknota do niego nie była mu przykrą.

W marcu przybyło mu jeszcze zajęcia. Przystąpił wreszcie do spółki budowlanej, do której go namawiali Rucz i Husło, i prawie cały kapitał Wandy w niej umieścił. Rozpoczęło się na zakupionych placach stawianie domów. Karol, jako współwłaściciel, musiał wglądać w kontrakty, układać się z rzemieślnikami, pilnować i pędzić.

Nieraz wracał do domu wieczorem tak zmęczony, tak fizycznie i moralnie wyczerpany, iż zdawało mu się, że nawet gazety przeczytać nie zdoła. Na czekającą robotę spoglądał z obrzydzeniem. Ach, położyć się czemprędzej — i spać. Ale co będzie, gdy zabraknie środków do życia? gdy nie wystarczy na to, do czego ona przywykła? Co wtedy będzie? Nie, pracować trzeba, zdobywać, walczyć, dobijać się — naprzód iść wciąż, póki tchu w piersiach, póki sił starczy. Odpocznie kiedyś — może aż w grobie... Ale tymczasem, do pracy! do pracy!

I w ciszy pustego mieszkania, zasiadł do biόra, na którem uśmiechała się do niego jej fotografja — i późno w noc paliła się zielona jego lampka nad stosami ksiąg i papierów.

VIII.

28. Kwietnia. Ach, nareszcie jestem w domu, przy moim Karolu, najlepszym, najdroższym. O Boże, jakże mi się wydały długie te trzy miesiące spędzone bez niego! Nigdy, nigdy go już nie opuszczę. Gdyby on tam był, byłby raj. Co za cudna natura, jakie widoki, jakie powietrze upajające! I to morze błękitne, i te rośliny, i ta moc kwiatów cudnych, i te białe wille, rozsypane w ogrodach. Prześliczne to wszystko! Ale tylko z nim! Bez niego, było mi źle — no, tak źle, że doprawdy nie wiem jak wytrzymałam. Ciocia już zaczynała się lękać, aby ta kuracja gorzej mi nie zrobiła. E, to nie! Nigdy jeszcze nie byłam tak zdrowa. Utyłam, nawet pod sekretem powiedzieć sobie mogę, żem wyładniała. Czuję, że dobrze teraz wyglądam. I zdaje mi się, że Karol także to widzi.

Ach, ten mój przyjazd wczoraj! To pozostanie na zawsze w pamięci mojej, jako jeden z piękniejszych dni życia. Z Warszawy telegrafowałam, że jadę — i rada byłam, że wujostwo zdecydowali się wracać na Brześć, bo byłam sama i mogłam całą myślą oddać się temu szczęściu wracania. I widziałam siebie sto razy, wysiadającą z wagonu i w jego objęciu. Ach, oczekiwanie szczęścia jest także szczęściem ogromnem. Ale na ostatniej stacji porwał mnie strach. A może on chory? Może coś złego? może...? I tę ostatnią godzinę przebyłam w męce. To przekonanie, że stało się co złego, wpiło mi się w mózg. Starałam się otrząsnąć — nie, nie mogłam. A każdy obrót kół zbliżał mnie do tej czarnej przepaści, którą przed sobą widziałam.

(C. d. n.)



16)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Zachowane urny domkowe z Włoch, Germanji i Słowiańszczyzny są więc pomnikiem niewątpliwym prastarych mieszkań ludzkich na lądzie europejskim. Załączona urna domkowa (wiz. 2-gi) z Italji jest jeszcze okrągła, choć jak ze wszystkiego wnosić należy nie z pilśni lub skóry, ale najprawdopodobniej z plecionki wiklinowej i gałęzi wykonana. Urnę okrągłą, a raczej dach okrągły wykopany w Saksonji, podaję w rysunku późniejszym w rozdziale o koszowych mieszkaniach. Nawskróś okrągłe i jak się zdaje w całości z plecionki wiklinowej gliną przepojonej wykonane, trzciną pokryte, są te chaty kosznice, których obraz w glinie palonej zawarty, przechowały nam dwie urny domkowe, wykopane na ziemiach dawnej Słowiańszczyzny. Podobieństwo, jakie istnieje między wizerunkiem zewnętrza namiotu Turkmenów (wiz. 3 i 4) a dwiema niniejszemi urnami będącemi niewątpliwie mieszkaniami naszych przodków, uwalnia nas zupełnie od dalszych rozumowań.



WIZ. 2.
Urna domkowa, obraz przedhistorycznej chaty italskiej (Kult. Gesch. Hell. I.)

Zwrócić tylko należy uwagę na przechowane na zachodnio Przegnickiej urnie drzwirze, opatrzone kłodą do zamykania, której szczątkowy ślad w wyrazie „kłódka“ dotąd świadczy o tem, że na drzwiach drzewo jako tworzywo zasadnicze w kształcie i dźwięku ślad swój wycisnęło. Pomiędzy urnami domkowemi a wizerunkiem domów germańskich, wyrzeźbionych na kolumnie Trajana, istnieje również jak najściślejszy związek w zasadniczym kształcie. Okrągłość, dymnik u góry i jedno wejście, to są cechy, które chatę Germanów ówczesnych utożsamiają z namiotem. (Wiz. 4-ty). Źródło nazwy Niemców „Nemetów“ „Namiotów“ staje się więc tembardziej prawdopodobne. Układ tych chat-namiotów jest również niezmiernie znamienny.

Jeśli zestawimy słowiańskie wyrażenie namiotu w drzewie, jakiem jest huculska koleba z tem, co podają nam Rzymianie o chacie Germanów, to odrazu rzuca się zasadnicza różnica w budowaniu, mimo rzeczywistego podobieństwa w treści wewnętrznej i formie zewnętrznej. Do tej różnicy powrócimy jeszcze później. Nam tu tylko chodzi o stwierdzenie, że kształt mieszkania którego pierwowzorem był namiot, należy do najstarszych europejskich budowli i że tem samem ślad warstwy którą określiliśmy na wstępie niniejszego rozdziału jako kulturę stepowo-namiotową, był, im dalej wstecz, tem wyraźniejszy. Obok prostokątnych form budowli tubylczo europejskiej kultury istnieją żywe szczątki mieszkań z namiotu się wywodzące. Dowodem zaś stepowego ich pochodzenia jest, po pierwsze, przeznaczenie tych budowli o kult ognia zaczepiające, a później fakt, że im bliżej wschodu i stepowych, tamże wciąż jeszcze panujących warunków życia, tem więcej przeważa okrągłość namiotowa budowli.

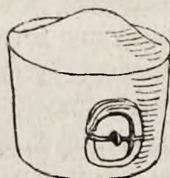
Również ornament na urnie domkowej w Karyntji przypomina żywo układ szkieletu drewnianego przy namiocie (Zeit. für Ethnol. XXXII Abhandl. 597.) (Wiz. 3). Zresztą słynny uczony niemiecki Virchow, badając większość urn domkowych „przyjmuje bez wahania, że te okrągłe „do pieca piekarskiego“ podobne urny, przedstawiają pierwotną formę domu, która jest starsza, niż dom z opadającym skantowanym dachem“. (Sitzungsberichte der preussischen Akademie. Rok 1883 str. 998.)

Jako współcześnie istniejące podobne budowle uważa „namiot Czukczów“, jurty Kirgizów“ i „namioty Tatarów“, (którzy wprawdzie mieszkania swoje na wozach przewożą). Według starego malowidła jurta Dschingis Chana miała również tę samą formę...

Widocznie więc urny nasze domkowe stoją najbliżej pierwotnej formy budowania. Jak zaś długo podobne pierwotne formy zdołają się u-

trzymać, dowodzą do dziś istniejące i używane Trudhi w Apulji i północno portugalskie wiatraki które jeszcze zupełnie według wzoru domów w Citania dos Briteiros są budowane (tamże str. 1004). „Tak więc nie pomylimy się, jeśli owe okrągłe urny domkowe będziemy uważali jako starsze, jak budowę z kalinicą dachową“(tamże str. 1004). Tak stwierdza w pracy uczonej i sumiennej starożytność namiotowego wątku prof Virchow. — Śledzimy dalej. U Rzymian w okresie dziejowym okrągłość jest już zatraconym w pamięci ludu symbolem. Plutarch (Num. 11) i Owidiusz (6. 267. 9.) widzieli już jedynie w tych ze czcią powtarzanych okrągłych formach świątyń, podobieństwo do okrągłości ziemi.

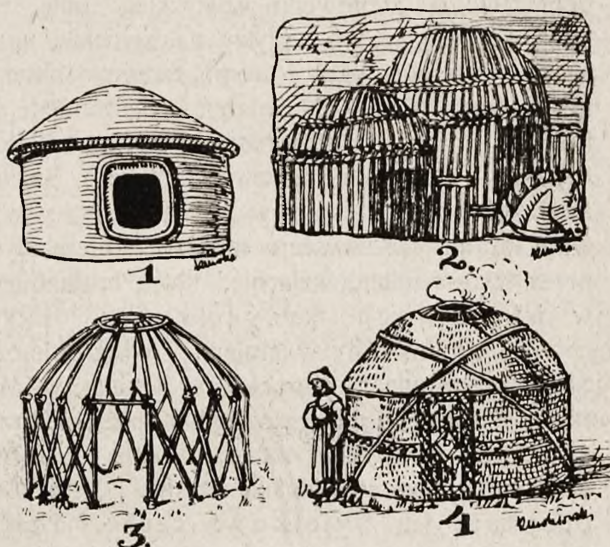
Współczesny „Rzymianin“ niemiecki Mommsen stwarza następującą teorję, co do stosunku kształtów okrągłych i prostokątnych w budowlach. „Nie uważam okrągłej formy, jak mniemają, za najstarszą, owszem budowa domu nawskroś o



WIZ. 3.
Urna domkowa, obraz przedhistorycznego namiotu (kosznicy) słowiańskiej z Gaudowa na Pomorzu.

czworobok się opiera, natomiast okrągła forma służyła jako najwygodniejszy i najbezpieczniejszy przytułek dla przechowywania. Temu zawdzięczają swą kolistość skarbce Hellenów, jakoteż budowle spichrzów rzymskich i świątyń Penatów. Rzecz naturalna, że miejsce na ognisko to jest ołtarz Westy — jako komorę ogrzewalną, również należało okrągłą uczynić, jak to z cysternami i obramieniem studni się stawało„. (Mommsen-Geschichte Roms tom I. str. 474 i 475.) — Fałszywość powyższego sądu leży jak na dłoni. Zjawisko, że świątynia Westy, Estji, bogini ogniska domowego, od której wiedzie nazwę cała Italja (Estjalia) jest kształtu okrągłego, łączy się wyraźnie z kolistością świątyń bogów rodzinnych, Penatów.

Inna zupełnie jest sprawa z budowlami gospodarczemi kształtu okrągłego. — Dla wyjaśnienia jej postawimy następujące twierdzenie, które udowodnimy w ciągu całej pracy. Prawidło moje brzmi: „Panująca forma mieszkania nie wypiera zupełnie poprzedniej, ale przeznacza jej w gospodarstwie ludzkiem coraz to podrzędniejsze przeznaczenie“. — W Italji Aryjczycy—namiotowcy, zastali stary tubylczy system budowania czworobocznych mieszkań, jako pochodnych palowej konstrukcji drzewnej; one więc dały im układ i rozkład toskańskich chat-świątyń ze słupcami, jak to szereg urn domkowych etruskich w wybitny sposób wskazuje. Stosunki fizyczne nowego kraju wraz z osiadłem życiem i równoczesną przemianą formy gospodarowania, przyczyniły się do zarzucenia okrągłych namiotów, a po pewnym czasie i koszów okrągłych. Wspomnienia tych



WIZ. 4.

Ryc. 1. Urna domkowa starosłowiańska z Tarchinu w Meklemburgji — dziś w muzeum w Berlinie — (Kultur. Gesch. Hell. I.)

Ryc. 2. Drewniane, ze słupów stojących, ze sobą wiązanych uczynione, mieszkanie Germanów z czasów Trajana (z płask. na kolumnie Trajana.)

Ryc. 3 i 4. Szkielet i wygląd namiotu turkmeńskiego (Garnier. Hist. de la habitation humąine, str. 290.)

ostatnich jednak w historycznym Rzymie były tak żywe, że na Palatynie przechowywano świętość narodową, chatę Romulusa „Casa Romuli“, z chrustu plecioną i okrągłą. Natomiast czworoboczne mieszkania tak wyparły okrągły kształt dawnych namiotów, że tylko bogini ogniska domowego Westa i Burchany — Penaty rodowe na wzór kałmuckich, mieszkały jeszcze w świątyniach kolistej formy. Dom opuszczony przez

ludzi można oddać bogom, można też przeznaczyć na spichrz lub stajnię, w jednym zaś i drugim razie zmniejsza się jego pierwotne znaczenie w ludzkiem gospodarowaniu. — Obok świątyń niektórych budowano więc jeszcze tylko spichrze i skarbce, jak Atreusza w Grecji, na okrągło.

Koliste grodziszcza pokryły znowu licznemi śladami, Słowiańszczyznę i Germanję. Okrągłe zamczyska trafiają się w Skandynawji, okrągłymi kościołami wyznaczony jest rozwój romańskiego stylu, który nietylko z tej strony zaczepia charakterem swoim o namiotowy charakter budownictwa i sztuki. — Jeżeli zaś czasem słabły, odbiegając od stepowego azjatyckiego pnia, namiotowe tradycje, to wpływy palestyńskie, podsycane wyprawami krzyżowemi, znowu wschodnimi wątkami okrągłych świątyń o centralnem założeniu, znaczyły swoją rosnącą potęgę. (Sokołowski — Ruiny na ostrowie Lednicy.) Sacken naprzykład zauważył, że w Austrji okrągłe świątynie leżą prawie zawsze w okolicy zamieszkałych przez starą feudalną szlachtę, która brała udział w wyprawach krzyżowych“. Liczne znowu są „kościoły w krajach słowiańskich, w Słowiańszczyzuie węgierskiej, w Krainie, w Morawii, Czechach i dalej, do tego stopnia, że przez niektórych historyków sztuki, okrągła ich forma uważaną jest za słowiańską własność“, to zaś odejmuje im wyjątkową cechę i dowodzi że na tym gruncie. zespolone są ściśle z przeszłością społeczeństwa i z warunkami swego rozwoju“. (Prof. M. Sokołowski, Ruiny na ostrowie jeziora Lednicy Pam. hist. fil. tom III. str. 258). Ze słów powyższych jasno wynika, że największy nasz znawca historji sztuki, wiąże okrągłość tych budowli z dawnemi słowiańskiemi grodziszczami kolistemi i jeszcze dawniejszemi wpływami azjatyckiej kolebki. — W Norwegji i Niemczech trafiają się również okrągłe, lub w koło wpisane rysem poziomym budowle (kościół w Akwizgramie budowany przez Karola Wielkiego), rosną jednak w miarę zbliżania się ku południowemu wschodowi, gdzie u azjatyckiego nieboskłonu w wschodniorzymskim grodzie Konstantyna, mieści się źródło bizantyńskiego stylu o centralnem na kolistej podstawie opartem założeniu.

Podobny objaw powrotnej fali w warstwach kulturalnych zauważył nasz uczony, prof. Aleksander Brückner w języku polskim. Rozdziela on naprzykład w dziełku „Cywilizacja i język“ bardzo wyraźnie w Polsce warstwę mieszczańską językową 15 i 16 stulecia i szlachecką 16, 17, 18. — Nas szczególnie na tem miejscu zastanawia, równoległe do powrotu pierwiastka okrągłości namiotowej ze stepowego wschodu, najście wyrazów tatarskich i tureckich, w jakie obfituje język polski w 17 wieku, któremu jazda szlachecka polska, ucierająca się na kresach wschodnich stepowych, piętno owe wycisnęła. — U ludu, żywioł wschodni multańsko-wołoski obok „wałaszania“ koni, zapisał na języku górali polskich i ruskich znak swojego wpływu w zakresie gospodarki pasterskiej również tak wybitnie stepowej. Słowem widzimy, że powrotne fale w kulturze t. j. w warunkach życia, zwracają często ludzkość w potrzebach mowy i pojęć napowrót do tych samych odwiecznych źródeł językowych, w których najlepiej dany typ cywilizacji (w danym wypadku konno-pastersko-stepowej) odbicie swoje znajduje. Prof. Brückner kilkakrotnie w cennej swojej pracy na powyższe zjawisko wskazuje. („Cywilizacja i język“, Warszawa 1901).

Germańskie mieszkania okrągłe z dymnikiem u szczytu, na wskróś do namiotów mongolskich podobne, na kolumnie Trajana odtworzone, świątynia Westy w Rzymie, skarbiec Atreusza w Grecji, rzymski Panteon, zamczyska okrągłe w Germanji, okrągłe grodziszcza na Pomorzu i w reszcie Polski, okrągłe kościoły w Fuldzie, na Bornholmie, u nas na ostrowie Lednicy i w Strzelnie na Kujawach, cerkwie bizantyńskie w Carogrodzie, są to wszystko więc niezależnie od siebie powstałe wątki okrągłe w budownictwie, które poczęte niegdyś w wojłoku, przez kosz i drzewo, nawet w cegle i kamieniu potrafiły przechować swoją wiekami stężałą formę.

C. d. n. *Kazimierz Mokłowski.*



Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Gustaw Daniłowski. *Poezje.* I. Warszawa. Stefan Demby. MCMII.

Poezje p. Daniłowskiego przykuwają do siebie odrazu uwagę czytelnika; czyta się je jednym tchem, z zaciekawieniem od początku do końca. A to już dobry znak dla poety! Niewiele bowiem tomików, wychodzących w dzisiejszych czasach, ma to do siebie, żeby mogły zainteresować. Pan Daniłowski, to rzeźki, świeży, przedewszystkiem samodzielny talent. Samodzielność p. Daniłowskiego widoczna w tem, że się wyzbył współczesnego balastu frazeologicznego, a pisze po męsku i szczerze. Sentymentalności, czułostkowości niema u niego ani krzty. Siła p. Daniłowskiego, jego świeżość i oryginalność leży w spokoju, w silnie rozwiniętej pracy rozumowej i w niesłychanej jasności i prostocie, jakiej bodaj żaden z współczesnych nie posiada. Wiersze, jak „Rybak“, „Okna“, „Od mroków nocy do białego ranka“, „Modlitwa“, należeć będą zawsze do najpiękniejszych, jakie wogóle posiadamy.

Język p. Daniłowskiego jest męski, jędrny, umiarkowany, jest celem, wiodącym do wypowiedzenia się, lecz nigdy celem dla samego siebie. Stąd brak p. Daniłowskiemu przepychu w obrazowaniu, dźwięcznych i wyszukanych rymów tak, że gdzieniegdzie można go podejrzywać wprost o brak fantazji. Ale to tylko pozorne. Ten spokój może wywoływać ogromne wstrząśnienia, jak n. p. w „Oknach“.

Reasumując, cośmy powiedzieli, musimy przyznać, że p. Daniłowski jest jednym z bardzo wybitnych współczesnych poetów, bardzo oryginalnym, odpornym i krytycznym. I drga w tej całej prostocie ukryta siła, która się niezawodnie rozpali, „jak czasem piorun we wnętrzu rozdartej przez siebie topoli“. *Te... Mi...*

*

Co to jest filozofja i co o niej wiedzieć należy. St. Brzozowski. Tom I. do Kanta, II. od Kanta. Wydawnictwo Arcta w Warszawie.

Pomimo, że niema człowieka, któremu zagadki bytu nie wydzierałyby z ust ogólników o świecie, życiu i śmierci, — niema przecież dziedziny umysłowości ludzkiej tak trudnej do popularyzacji, jak filozofja. Podręczniki jej są dla laików, albo niestrawne, albo nudne, albo, co najwyżej służą do zdobycia blichtru filozoficznego i umożliwienia blagi w tym przedmiocie dla salonowego popisu. Autorowi powyżej wymienionej książeczki, w bardzo wysokim stopniu udało się przedmiot swój ująć tak, żeby zrobić z filozofji dla czytelnika sprawę jego własnej potrzeby zorjentowania się wśród zagadnień najwyższych, zapomocą podania tego, co ludzkość już w tym kierunku zrobiła. Nie wojując terminami, nie argumentując za, ani przeciw, nie gromadząc szczegółów historycznych, snuje on po kolei zapatrywania filozofów tak, jakby to były tylko wyższe formy tego pragnienia, które u ludzi zwyczajnych objawia się w prymitywnych ogólnikach, owych westchnieniach, wydartych im przemocą z duszy, ogarniętej lękiem przed nicością.

To zbliżenie filozofji, wyglądającej zdala niedostępnie, do serc maluczkich, prawie całkiem się p. Brzozowskiemu udało. Wprawdzie niektórzy filozofowie, jak n. p. Kant, przedstawieni są trochę bałamutnie, a w ocenie poszczególnych systemów nie zawsze jest autor dość szczęśliwym i sprawiedliwym; filozofja polska mogłaby być dokładniejszą w stosunku do reszty, a wreszcie wiele jest tam jeszcze tradycyjnej hypnozy słów takich, jak: prawda, mądrość, piękno i t. d. Autor sam to czuje, gdy na końcu drugiego tomiku mówi o książkach filozoficznych do czytelnika: „Niech czyta, ale niech się nie łudzi, że w ten sposób zyska filozofję... Będzie mógł poznać, że czyta je dobrze, gdy uczuje, że go wzruszają do głębi, przyspieszają bicie jego serca i oddech wstrzymują“. Jednak sama już tendencja takiego userdecznienia przedmiotu odbiła się na tej małej książeczce tak, że kto chce zapoznać się z historją filozofji dlatego, aby znać ją tylko na chłodno, lub dla jakich celów ubocznych, ten w niej mało znajdzie. Zato nawet laik ostatni, gdy tylko duszę ma zdolną do tego, zainteresuje się, zapragnie informacji, i to zapragnie ich tak, żeby myśli filozofów stały się jego własnością, tzn. pomogły jemu samemu do zorjentowania się w świecie.

Charakterystycznem dla tej tendencji autora, a zarazem i dla swojego ogólnego znaczenia, jest następujący ustęp o filozoficznem przygotowaniu naszej młodzieży. P. Brzozowski pisze: „Młodzież nasza — a ona tu najbardziej wchodzi w rachubę — jest najgorzej pod względem filozofji przygotowana: w głowie ma chaos pustych słów, które nic nie oznaczają, a pomimo to podtrzymują zarozumiałą pewność siebie i nie pozwalają rozwinąć się istotnej żądzy wiedzy. Strzępy materjalizmu, pesymizmu Schopenhauera, indywidualizmu Nietzschego, i nie wiem wreszcie czego, oto, co obnoszą nasi młodzi i najmłodsi w swych głowach: do tego trzeba dołączyć nieco frazeologji ruskinowskiej, maeterlinkowskiej, trochę wykrzykników Przybyszewskiego, a będziemy mieli zobrazowanie bagażu umysłowego, z którym ci ludzie chcą żyć i będą musieli umierać“.

„I będą musieli — umierać...“ Ile w tem zarazem i własnego uczuciowego traktowania sprawy i żądzy, aby bodaj przerażeniem zmusić do zajęcia się rzeczą, do traktowania jej, jako sprawy osobistej. To pierwszy postulat dobrej popularyzacji. Kto pod takim wpływem raz zaczął, ten już sam pójdzie dalej. *St. W.*

*

Profile i perspektywy. Bertold Merwin. Lwów 1902. Gubrynowicz i Schmidt. Str. 125.

P. Merwin posługuje się następującą wypróbowaną „metodą“: wybiera pierwszą lepszą książkę, o której wyczytał w *Zeit* lub innem niemieckiem czasopiśmie literackiem, że jest bardzo „modern“ i streszcza ją pobieżnie, lub cytuje z niej wprost całe ustępy, a otrzymany w ten sposób bigos podlewa sosem szablonowych frazezów „modernistycznych“. Przytem od czasu do czasu pisze skromnie: „streszczając zapatrywania p. X. z możliwą przedmiotowością, zaznaczam, że nie zgadzam się w wielu punktach z jego wywodami“, albo: „jedno jeszcze chciałbym ja dodać“ — poczem pokazuje się, że właściwie to, co „dodaje“ p. Merwin, „poruszył już mimochodem jeden z myślicieli niemieckich“. W ten to sposób w dziewięciu ze swoich jedenastu studjów (!) faktoruje p. Merwin pomiędzy twórcą a publicznością, „oddając rozwojowi poczucia artystycznego niemałe usługi“ (patrz przedmowę). Dwie prace, które jedynie jeszcze z całej jego książki mają przynajmniej pozór krytyki oryginalnej — o Konopnickiej i o „dramacie pięknym“ (?) — dowodzą jednak wymownie, jak o rzeczach powszechnie znanych a prostych i jasnych pisać można zawile i pretensjonalnie frazeologją, marnie skopjowaną z drugorzędnych essaistów wiedeńskich i berlińskich. Niech p. Merwin (byle tylko nie odważył się klepać po ramieniu... Amiela!), dopóki znajduje dobrodusznych, a na rzecz sztuki zupełnie obojętnych redaktorów, drukuje sobie w dalszym ciągu swoje elukubracje w dziennikach, gdzie one przynajmniej mają jaką taką, bardzo problematyczną zresztą, wartość informacyjną, ale niechże, na miły Bóg, nie okazuje tyle pogardy dla literacko wykształconego ogółu, ażeby te „utwory“ swoje drukować w osobnej książce, która chyba tylko dla jakiego przyszłego patologa naszego dziennikarstwa przedstawiać może wartość.

A. C.

SZTUKA. *Wystawa obrazów* w naszym salonie sztuki przy placu św. Ducha, otwartą została po dłuższej przerwie wakacyjnej na nowo i przedstawia wielkie urozmaicenie, zarówno pod względem doboru, jak i wartości wystawionych obrazów.

Najwięcej zainteresowania, choćby już ze względu na swoją treść, budzić muszą rysunki znanego ilustratora warszawskiego, p. Kamieńskiego. Przedstawiają one najbardziej znanych obecnie malarzy polskich doby współczesnej, jak: Wyspiański, Mehoffer, Witkiewicz, Fałat i inni. Każdy z tych rysunków odznacza się podobieństwem, indywidualną odrębnością w ruchu i wyrazie i tem, że artysta starał się każdego przedstawić takim, jakim jest na tle swojego terenu, najbardziej dlań istotnego, bo w pracowni. Pozują oni, ale z tą naturalnością, z jaką pozować musi artysta koledze, który go zna dobrze. Dzięki temu te, z rozmachem traktowane rysunki, mają wszystkie piętno szkiców momentalnych. Najwięcej wyrazu mają wizerunki: Mehoffera, Witkiewicza, Wyspiańskiego i Laszczki. Ze zmarłych, ale należących treścią i duchem swoich prac do współczesności, widzimy tam przedwcześnie zgasłego Podkowińskiego, przedstawionego w chwili, gdy, siedząc na rusztowaniu, wpatruje się w malowany właśnie słynny swój „Szał“, oraz rzeźbiarza Kurzawę.

Najobficiej oczywiście, jak zwykle teraz u nas, reprezentowanym jest pejsaż. Jedno z pierwszych miejsc zajmuje tu Wywiórski, z szeregiem dobrych, jako dekoracje, ale pozbawionych nastroju i twardych w wykonaniu, obrazów olejnych. Stankiewiczówna dała kilka rysowanych i malowanych krajobrazów, które odznaczają się bardzo dobrem uchwyceniem tonu, panującego w nastroju jednej chwili w naturze. Janowski w swoich piórkowych rysunkach chwyta to samo więcej linją, niż tonem i bardziej uwzględnia stały, t. j. rysunkowy, niż momentalny charakter pejsażu. Za wadę tych obrazków uważałbym, że są trochę zbyt jednakowo traktowane, oraz, że w czarnym chaosie linji grubszych i cieńszych trudno się wyznać, zwłaszcza w pierwszej chwili. I ton i rysunek dobrze uwydatnione są w szkicach Żelechowskiego, a choć ogółem są to rzeczy drobne, mają pewną wartość dla swojego sentymentu. Nie mają jej natomiast pejsaże p. Reyznera, choć przyznać im można pewien postęp w stosunku do tego, co zwykliśmy widzieć u niego. Malowane one są jeszcze ciągle zanadto na wrażenie obrazków, mających być szkicami, zbyt wiele w nich, stałego u tego artysty, jakiegoś pyłu, czy sosu mlecznego, ale np. pejsaż z czerwonymi plamami bab w polu ma nieco malarskiego sensu. Z obrazów Pociechy tylko „Las“ ma nastrój i charakterystyczny „pociechowski“ ton; dwa inne są słabe.

Z reszty obrazów najwięcej uwagi zwracają wielkie obrazy olejne p. Piotrowskiego. Z symbolicznych największy przedstawia kobietę, leżącą na wznak, głową do widza. Ramiona jej obejmuje polip, podczas, gdy olbrzymi wąż, wypełzły z poza dolnej ramy obrazu, zbliża się głową do jednego dziecka, trzymanego przez leżącą prawą ręką, a po lewej jej stronie krokodyl trzyma w pysku drugie dziecko. Ma to być Polska i zaborcy, ale zarówno pomysł obrazu, jak i jego wykonanie są słabe. Nie mówiąc już o innych usterkach tego ostatniego, ten mały polak w różowej paszczy krokodyla robi wrażenie trochę komiczne; wygląda jakby spał tam sobie wygodnie. Podobnie słabe są i inne obrazy symboliczne, a raczej alegoryczne. Zaś w „Utarczce“ rysunek ludzi i koni szwankuje; niema w nich, szczególnie w rycerzu na białym koniu żadnego ruchu. Zupełnie zaś poza nawiasem znaczenia umieścić należy studja Wisłockiej.

Ostatnią salkę zajmuje kilkanaście projektów na cerkiew. Tylko niektóre z nich odznaczają się zachowaniem ludowego typu cerkwi; reszta to przeważnie kombinacje stylu wschodniego albo z ludowym albo ze zwyczajną szarzyzną budowlaną, albo też sama szarzyzna.

St. W.



Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8